

Tornado 10

Ciągle ktoś mnie pyta dlaczego robię to, co robię, a ja nie za bardzo wiem jak mam odpowiedzieć, żeby przy okazji nie wyjść na wariatkę. Tornado wprawdzie ostatnio wyraźnie zmniejszył częstotliwość dostarczania nam ekstremalnych doznań, ale nadal jesteśmy czujni jak ważka. Rzecz jasna, nikt nie wie, ile on ma lat, ale wyraźnie się postarzał. Posiwiął, gubi zęby i regularnie łyka lekarstwo na artretyzm. Ale nic sobie z tego nie robi. Właśnie leży na plecach w nowym kojcu i chrapie jak stary marynarz, ale nie dajmy się zwieść pozorom. Przecież na emeryturze też się coś stworzeniu od życia należy, więc czasem jeszcze jakiś numer się wytnie 😊

A było to tak...

Wichura wyrwała nam z płotu sztachetę, a w ślad za tym Tornado wylazł przez dziurę w ogrodzeniu i oddalił się w niewiadomym kierunku. Trudno. Raz w jego karierze pewnie już jakoś tak ze 105, więc jak widzicie jestem zaprawiona w bojach. Jak go tylko auto nie trzepnie, to gdzieś się przybłąka, ktoś się znowu nabierze na to jego pocziwe ryło i do mnie zadzwoni, że znalazł pieska. Zatem luzik. Czekamy.

Minęła godzina.

Telefon:

- Dzień dobry, czy nie zginął pani piesek?
- Zginął.
- Bo ja dzwonię z Kieleckiej 30 (gigantyczne osiedle wokół, milion adresów).
- Pawilony?
- Tak, salon fryzjersko-kosmetyczny, pierwsze piętro.
- Czy to salon pani Marii?
- Nie, ale obok. Gabriela, solarium.

Miła pani przechowała psa do mojego przyjazdu. Zastałam gnojka

na kocyku, z pełną michą, w dodatku mizianego przez dwójkę dzieciaków, co to w domu pieska nie mają. Nie wiem, kto był bardziej rozanielony tym mizianiem. Dzieci czy pies. Przejęłam zbiega i chciałam jakoś się zrewanżować, ale pani odmówiła stanowczo.

Trzy tygodnie później...

8.00 rano. Właśnie, połamana na maksa po wcześniejszym pilatesie, startuję ja sobie na jakiś normalny trening, żeby rozruszać bolące zwłoki...

Telefon:

– Dzień dobry, czy przypadkiem nie zginął pani kotek? Czarna kicia z obrozą.

– Nie zginął, po okolicy łązi, więc proszę ją wypuścić. Bardzo dziękuję za zainteresowanie. Trafi do domu- strzeliłam standardową formułkę.

– Bo ja dzwonię z Kieleckiej 30. Właśnie do mnie przyszła i nie chce wyjść.

– Pawilony?

– Tak, salon fryzjersko-kosmetyczny, pierwsze piętro.

– Czy to salon pani Marii?

– Nie, ale obok. Gabriela, solarium.

Tutaj wypadałoby napisać „kurtyna”, ale to jeszcze nie koniec historii 😊

W przeciwieństwie do mnie, pani z salonu była w ciężkim szoku, jak mnie znowu zobaczyła. Zafasowała książkę z dedykacją i się trochę wzruszyła jak jej powiedziałam, że przecież warto być dobrym człowiekiem, a skoro moje zwierzęta tak chętnie ją odwiedzają, to na pewno coś w tym jest 😊

Całkiem niedawno znów do mnie zadzwoniła, ale już na wstępie powiedziała:

– Dzień dobry, to ja. Gabriela z salonu przy Kieleckiej. Tornado znowu jest u mnie.

Kurczę, dobrze, że mam jeszcze trochę tych książek □
No i sami powiedzcie, jak tu normalnie żyć? Pomijam już fakt, że w międzyczasie Tornado jeszcze raz się oddalił z ogrodu, mimo zasieków godnych zakładu karnego o zaostrożnym rygorze, ale odnalazł się niedaleko w spożywczaiku, Behemot nam przepadł bez wieści, a Szajba złamała sobie ogon. I jeszcze otrzymałam z pięćdziesiąt telefonów, że ktoś ją „znalazł” oraz przenocowała raz u pewnej miłej pani, która zgarnęła ją do domu, bo się pętała po ulicy (tzn. kicia się pętała, a nie ta pani). Pani rozwiesiła także ogłoszenia, że szuka właściciela kici z obrozą i co chwila ktoś znajomy mi mówi, że chyba Szajbę znaleźli, bo ogłoszenia wiszą na osiedlu. Ech!, no mówię Wam..., ja czasami zwyczajnie nie wyrabiam.

Rano normalnie wołam sobie kota. Naprawdę normalnie, po ludzku, wyszłam przed dom i się normalnie wydzieram: „Szajbaaaaa!!! Kici kiciiiii!!!”, a tu podchodzi do mnie jakiś facet z psem i pyta:

- Przepraszam, a czy przypadkiem nie zginął pani kotek?
- A wie pan co, jeszcze nie wiem. Tak sobie wołam...
- Bo wie pani, widziałem właśnie ogłoszenie na słupie, że ktoś znalazł czarną kicię z obrozą i szuka właściciela.
- Aaa, no tak. Zgadza się, to mój kot, ale wie pan, to już nieaktualne. To jest ogłoszenie z zeszłego tygodnia.

Kurtyna...

Tornado 9

Naczelny balowicz RP

No tak... sama chciałam... to mam. Ale skąd ja mogłam wiedzieć, że

u zwierzaków imię ma wpływ na charakter? Dziś, z perspektywy czasu dostrzegam, że rzeczywiście tak jest. Tornado przecież nauczył się latać, a Frykas był jedynym kocim niejadkiem, jakiego znam. A Wy znacie kota, za którym trzeba biegać z surową polędwicą wołową i prosić gada, żeby łaskawie coś zżarł? Ja nie. Kiedyś, po grubszym remoncie przyszedł do nas do domu gość od alarmów. Tu chałupa czyściutka, wypicowana, nowe meble i na to wchodzi nasz wynędzniały kot Frykas. Zimą to jeszcze pół biedy, bo miał większe futro i jako tako się prezentował, ale latem wyglądał jak morzony głodem, zabiedzony pokurcz.

– No, fajnie. Chałupa jak nowa, ale co ten kot taki chudy? Jeść mu nie dajecie, czy co?- zapytał facet od alarmów, a ja, jak jakaś głupia zaczęłam się gęsto tłumaczyć, że to kot niejadek.

Ale wracając do pozostałych czworonogów to kot Behemot kochał wodę, jak na mitycznego potwora z głębin morskich przystało. Potrafił godzinami łązić po deszczu i taplać się w kałużach. Nie zliczę, ile razy wrócił do domu mokry jak chluszczyk i trzeba go było wykręcać 😊

Kapsel – to imię miało brzmieć niewinnie, ale też nam nie wyszło, bo przerośnięty, nieletni kocur tegoż imienia notorycznie zrzuca donice z parapetów, wywraca krzesła, biega po ścianach i przy okazji, kilka razy dziennie włącza światło w kuchni, bo klepie łapami w wyłącznik na wysokości półtora metra od podłogi. O Szajbie już nawet teraz nie wspominał, bo z nią jest urwania głowy na kolejne trzy felietony, ale sugerując się imieniem, możecie sobie wyobrazić, jaki ja z tą kicią mam krzyż pański. No i oczywiście latający Tornado do kompletu.

Niedawno przypomniał mi się jego pierwszy wakacyjny pobyt u moich rodziców. Normalni ludzie, jadąc na wakacje do ośrodka położonego w lesie, zazwyczaj zabierają psa ze sobą. U nas, niestety nie wchodziło to w rachubę, zatem zaangażowałam

rodziców do pomocy. Lato na działce sprzyjało tymczasowej opiece nad psem, ale to też wymagało przemyślanych i daleko idących przygotowań. W końcu wykonać profesjonalne zasieki na kilkunastoarowej posesji rodziców wcale nie było rzeczą łatwą ani tanią, zatem wpadłam na pomysł stulecia. W przebłysku geniuszu kupiłam na allegro elektrycznego pastucha i całą sobotę spędziliśmy na rozstawianiu elektrycznego ustrojstwa.

W końcu zadziałało, ale tylko do czasu, kiedy po naszym odjeździe mój tata mi doniósł, że elektryczny pastuch nie działa, i że kupiłam jakieś badziewie. A my właśnie w drodze na urlop..., a oni 100 kilometrów od nas. No to ja za telefon. Do dziś pamiętam, jak po całości zrugłam dostawcę pastucha, że sprzedaje jakieś wielkie gie i zażądałam nowego zasilacza. Musiałam brzmieć przekonywująco, bo sprzedawca niezwłocznie dostał nowy i jeszcze przeproszał. Dopiero po latach przejrzałam podstęp mojego taty, który w obawie, żeby psa prąd nie połaskotał, rozłączył styki w tym pierwszym zasilaczu. Ech, po powrocie sprzedałam pastucha właścicielowi hodowli danieli i pastuch działa do dziś, ale za to moja mama, na wyjazdach na działkę, całymi dniami towarzyszy psu i zapewnia mu warunki niczym w sanatorium. Razem chodzą na spacer, odwiedzają znajomych, czytają książki i oglądają seriale. Tornado jest przeszczęśliwy i jak tylko widzi moich rodziców, od razu jest gotowy do przeprowadzki na wieś. Choćby i w grudniu.

Heh, chyba nie daliście się zwieść tą wiejską, wakacyjną sielanką, prawda? Tornado nawet pilnowany przez 24 godziny na dobę potrafi dać nogę i moich rodziców nie mogły ominąć żadne z tym związane atrakcje. Proste. Jest Tornado, jest akcja 😊

Pies, na okoliczność wyjazdów, oczywiście otrzymał tymczasowy identyfikator z wiejskim numerem telefonu oraz potrójną obrozę na kleszcze, bowiem mama jest osobą zapobiegliwą. W czasie pierwszego pobytu tylko raz zwiął i do dziś nie wiadomo którędy, więc pewnie wziął płot szturmem i po prostu

przeskoczył, ale tydzień później centralnie dał czadu na odpuście...

Nie chcąc zostawić psa w domu, tata postanowił zabrać go na procesję z okazji Bożego Ciała. Zapakował kochanego Tornisia do samochodu i razem z mamą pojechali do oddalonego o dwa kilometry kościoła. Mama weszła do środka, tata natomiast zaparkował tuż przed kościołem i uchyliwszy w aucie szybę, stanął po drugiej stronie samochodu i podczas mszy pilnował psa. A przynajmniej tak mu się wtedy wydawało. Nie wiedział jeszcze, że Tornado doskonale, w kilka sekund, uchyla samochodowe szyby...

Mniej więcej w okolicy końca kazania tata profilaktycznie zerknął do środka, czy psu aby nie za ciepło, mimo że auto w cieniu.

– Kurde! Gdzie jest pies?!

Trzy razy sprawdził. Nawet w bagażniku. Nie ma. No, ale jak nie ma, to pewnie ktoś go znajdzie i będzie dzwonił a telefon w domu, a w domu nikogo nie ma. Komórka z psiego identyfikatora też w domu, więc tata od razu wskoczył za kółko i pognął do domu po komórkę. W nerwach prawie drogę pogubił i zapomniał, gdzie ma klucze, ale w końcu udało mu się wrócić, mniej więcej na ogłoszenia parafialne.

Widok jego oczom ukazał się przedni. W miejscu, gdzie wcześniej stał samochód taty, teraz siedział Tornado i grzecznie czekał. Jak widać, oddalił się tylko na małe zakupy na odpustowym straganie. Według relacji rodziców bosko się prezentował z różową wstążką na szyi i trzema balonikami przyczepionymi do obroży.

– Wiesz, on wyglądał jakby z imprezy wrócił!- relacjonował później tata, a ja myślałam, że żartuje. Niestety mama potwierdziła.

Istotnie, Tornado z balonami wyglądał jak Naczelny Balowicz

RP!



Tornado 8

Chyba sobie wykrakałam z tymi alimentami, bowiem z kolejnej ucieczki Tornado, o dziwo, samodzielnie powrócił do domu, ale – tu jeszcze większe dziwo – nie wrócił sam. Wraz z mężem przecieraliśmy oczy ze zdumienia na widok uroczej, beżowej suczki, której krągłości zdradzały ewidentne objawy zaawansowanej ciąży. Biedaczka zziajana z przejęcia, łapczywie rzuciła się do miski z wodą, a ja w duchu zmówiłam błagalną modlitwę, by sobie poszła. Ja rozumiem, że właściciel psa ponosi odpowiedzialność za działania swego pupila. Że ma obowiązek, że to, że pstro..., ale skąd ja mam wiedzieć, czy to właśnie Tornado jest sprawcą suczej ciąży? Z drugiej strony, żal mi się zrobiło biednego suczydła. Przecież bidulki nie wyrzucę, bo tak się nie godzi, ale jeśli to nie jego dzieci, to co? No kaplica.

W oczekiwaniu na rozwój wydarzeń atmosfera w domu zgęstniała. Do tego doszedł jeszcze kot Frykas z permanentnym fochem, że przygarnęliśmy psa i sierściuch stracił wyłączność. I teraz jeszcze suka. A jeśli to istotnie tornadowe dzieci? To co? A jak się zakochał w ciężarnej i jest gotów adoptować cudze? Mamy złamać mu serce?

Cóż, zrobiło się nerwowo. Na szczęście, po godzinie suka sobie poszła, a my odetchnęliśmy z ulgą, że przyszła tylko na picie, a nas właśnie ominęła adopcja beżowej suni wraz z potencjalnym miotem nie wiadomo czyich szczeniąt.

Przez moment powiało grozą, ale wreszcie udało się doprowadzić

na zabieg zdrowego psa i po kastracji, z nadzieją spojrzeliśmy w przyszłość, pewni że nasze życie znów wskoczy na normalne, względnie proste tory. W końcu jestem za młoda, żeby zostać babcią. Nawet psią.

Minął może tydzień od zabiegu, jak Tornado czmychnął córce przez uchyloną furtkę i tyle go widzieli. Znów ładowanie telefonu i czekanie, aż ktoś zadzwoni. Standard. Zaczęłam się przyzwyczajać. Jest!

– Dzień dobry. Pani pies jedzie ze mną tramwajem. Jest bardzo zdenerwowany. Jedziemy w stronę Dworca Głównego PKP.

Tym razem to mąż wskoczył w samochód i tym razem to on złamał wszystkie przepisy, żeby dogonić tramwaj i przejąć psa jeszcze przed dworcem, co w godzinach szczytu nie było wyzwaniem łatwym.

– Cholera by go wzięła- wysapał po powrocie wkurzony mąż.- Wcale się nie zdziwię, jak to bydlę następnym razem pojedzie na lotnisko!

– Słuchaj, a może na jego identyfikatorze, przed numerem telefonu dodamy +48?- zaproponowałam prawie pewna, że pewnego dnia, czekając na telefon od znalazcy usłyszę: *Dobry den, neli zahynout paní psa?* Albo *Buenos días, me encontré con un perro.* Ewentualnie coś w suahili. Wniosek przeszedł jednogłośnie, zatem niezwłocznie zamówiłam nowy identyfikator. Jak widać szwędacz u naszego psa wcale nie był wynikiem miłosnych ciągot i to coś, na co tak bardzo liczyliśmy, właśnie przeszło nam koło nosa. Stało się jasne, że on tak już ma i tak mu zostanie. Wprawdzie weterynarz próbował nas pocieszyć, że pies nawet i kilka tygodni po zabiegu może jeszcze czuć wolę bożą oraz zapewnił nas, że obciął wszystko co trzeba, ale my i tak już wiedzieliśmy swoje. Dlatego też wcale nie zdziwił nas późniejszy telefon z zajezdni MPK. Dyspozytor oznajmił, że pies objechał autobusem pół Krakowa i wraz z kierowcą, na koniec zmiany, odmeldował się w zajezdni.

Cóż było robić. Należało znów pojechać po psa. Całe szczęście blisko. U dyspozytora trzeba było wyasygnować kwotę na zwyczajowe pół litra, ale czegoż człowiek nie zrobi dla szczęśliwie odnalezionego pupila. Nie było innego wyjścia, tylko jeszcze bardziej zabezpieczyć ogrodzenie. Już byliśmy pewni, że mysz się nie prześlizgnie, a już tym bardziej pies, ale nasz Tornado ma wybitne zdolności. Raz wyszedł przez drzwi klapką dla kota, którą nie miał prawa wyjść, bo jest do tej klapki za duży. Ale wyszedł. Fakt, razem z całą klapką. Ale jakim cudem? Żebra ma z gumy, czy jak? A może on rzeczywiście z jakiegoś cyrku zwiął, a tam robił coś takiego jak człowiek-guma? Cóż począć, na wszelki wypadek kupiłam większą klapkę..., a moje dłonie w ostatniej chwili zastygły nad klawiaturą zanim kliknęłam na allegro w aukcję z drutem kolczastym.

Tornado 7

Wielki dzień

Po pierwszych tygodniach udręki uznaliśmy wreszcie, że to już chyba kres wystawiania naszych nerwów na szwank, ale Tornado najwyraźniej miał na ten temat inne zdanie. Pomimo maksymalnego zabezpieczenia ogrodu, kilka razy zdołał niepostrzeżenie oddalić się w niewiadomym kierunku. Na szczęście, po dziś dzień, każdy od razu nabiera się na to jego pocziwe ryło oraz spojrzenie cielaka, zatem z tych wycieczek dość szybko wracał do domu. Za każdym razem cieszył się jak głupi, a później strzelał popisową minę niewiniątka. Pomału zaczęliśmy bilansować wydatki. Już kilkukrotnie wypłaciliśmy

nagrody znalazcom, w markecie budowlanym też już zostawiliśmy swoje, o weterynarzu nawet nie wspominam.

Nie ma siły. Jak widać nie można zostawić go samego w ogrodzie, więc doszło mi jeszcze więcej spacerów lub towarzyszenie gadowi przy domu. Po konsultacji z weterynarzem stało się jasne, że jak tylko Tornado zaliczy rekonwalescencję po antybiotykach, to od razu ciachniemy mu jajka. Termin nie był odległy, zatem zacisnęłam zęby i znów przez 24 godziny na dobę pilnowałam psa, żeby nie nawiał. Przed pierwszym terminem, Tornado, chwycił nawrót anginy, przed drugim zwał na godzinę przed. W jaki sposób? Nawet nie pytajcie, bo nie wiem. Dziś z perspektywy oceniam, że po prostu przeskoczył przez ogrodzenie, choć nie wiem, jakim cudem może to uczynić pieseczek sięgający mi do kolan, gdy nie założę szpilek. Ale cóż, co ja tam wiem. 😊

Przez kilka kolejnych tygodni uczciwie pilnowałam psa, żeby nie poleciał na dziewczyny oraz pilnowałam siebie, żeby od tego pilnowania nie zwariować. Wierzcie, łatwo nie było, a ja, niczym poborowy odcinałam dni na centymetrze, aż wreszcie nadeszła upragniona data obcięcia rodzinnych klejnotów.

Uff. To już nazajutrz. Tyle jeszcze wytrzymam. W klinice chyba nie da nogi. Przecież jak go uśpią to im ze stołu nie ucieknie. Uff! Co za ulga...

W przeddzień wielkiego dnia nastał wieczór i nadeszła chwila, w której na ulubionym forum zaczynał się ruch, więc korzystając z tego, że dzieci oglądają dobranockę zainstalowałam się na tarasie. Cudowny zachód słońca, pies pode mną, a laptop przede mną. Właśnie rozgrzewałam łapki do klikania, jak dziatki me odmeldowały koniec seansu i czas wieczornych ablucji, więc ruszyłam do łazienki pomóc w suszeniu włosów. Nie było mnie może kwadrans. Na forum rozgorzała już burzliwa dyskusja na jakiś zajmujący temat, zatem uwinęłam się najszybciej jak mogłam. Zadowolona zasiadłam do laptopa. Nagle coś mnie tknęło i spojrzałam w

dół, pod ławkę.

GDZIE jest PIES?!

To niemożliwe... Przecież spał jak suseł, kiedy wychodziłam. Barrierki dość gęste i wysokie na półtora metra, dodatkowo taras na wysokości pierwszego piętra... Na serio, niemożliwe...

Zwątpiłam we własne zmysły. Dla pewności szczypiąc się w udo, by się utwierdzić, że na serio nie śnię, z pięć razy zajrzałam pod ławkę. Pusto, i nie chce być inaczej. Tornado właśnie wyparował do atmosfery. Jasny gwint! Żołądek podjechał mi do gardła. Cóż było robić. Sprawdziłam baterię w komórce i zasiadłam w oczekiwaniu na telefon od kogoś z moim ukochanym ostatnimi czasy tekstem: „Dzień dobry! Czy przypadkiem nie zginął pani piesek?!”.

Dwie godziny w nerwach. Jest!

– Dobry wieczór, bo wie pani, ja właśnie jadę pekaesem do Limanowej i pani pies też jedzie – zaszcebiotał dziewczęcy głosik.

– Że co?- zbaraniałam.

– No, piesek jedzie ze mną, ale wie pani, ja za kilka przystanków wysiadam i nie wiem, co dalej.

– Który przystanek?!!!

Jakby mnie tak wtedy policja zdybała to już chyba na trzecim skrzyżowaniu pozbawiłaby mnie uprawnień do kierowania pojazdem. Dobrze, że pekaes zatrzymuje się na przystankach, bo nieco zyskałam na czasie. Tornado ucieszył się, jakby mnie rok nie widział. Wrr... Capnęłam go za wszarz i z odpowiednim komentarzem wpakowałam do auta. Lżejsza o kolejne pięć dych znaleźnego, zgodnie z przepisami ruchu drogowego, wróciłam do domu. Wybiła dwudziesta trzecia i na forum już wszyscy poszli spać, więc nie pozostało mi nic innego jak przeczytać, co tam napisali, gdy mnie nie było i też iść spać. W końcu nazajutrz

wielki dzień. 😊

Rankiem, na wszelki wypadek, zapakowałam psa w szelki dla tygrysa, żeby mi nie czmychnął gdzieś po drodze i jako że weterynarz urzęduje kilka domów dalej, piechotką ruszyliśmy na zabieg.

Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby iść wtedy piechotą. Przecież zawsze jeżdżę autem, ale tego dnia akurat musiałam iść (!). Że też diabli nadali... ech! Dziesięć metrów przed kliniką mój pies przystanął za potrzebą.

– O! Witam pani Izabelo! – zagrzmiał chwilę później weterynarz. – Ciachamy?

– Ciachamy, a przy biegunce można? – zapytałam z nadzieją, że jednak można.

– Mowy nie ma! Najwcześniej dwa tygodnie po ustaniu objawów.

– Błagam..., wczoraj wszystko było w porządku...

– Absolutnie!

– Ale wie pan, że ja tego już dłużej nie wytrzymam? On wczoraj przeskoczył przez barierki na tarasie, zjechał na dół po dachu, potem zeskoczył z garażu, wsiadł do autobusu i pojechał do Limanowej! Błagam...

– Ależ proszę pani! – oburzył się weterynarz. – Przecież on nie może tak sobie zeskakiwać z tarasu i zjeżdżać po dachu, bo jeszcze sobie łapy połamię! No, co też pani?! – doktor od psów ochrzanił mnie centralnie.

– No to może pan mu to skutecznie wytłumaczy, bo ja nie umiem. W końcu to pan, jest fachowcem od zwierząt.

– Dwa tygodnie.

Zabrzmiało niczym dożywocie, a ja, bliska łez, wróciłam do

domu niczym zбитy pies, pewna że w najbliższym czasie nasz domowy budżet skurczy się jeszcze o alimenty.

Tornado 6

Cóż, muszę przyznać, że skończyły mi się pomysły i na koniec dnia pies pokonał mnie swoją żelazną konsekwencją i sprytem. Definitywnie zrezygnowaliśmy z umieszczenia go przy budzie, a zresztą i tak pewnie po jednym dniu bym zmiękła, zatem jakoś przełknęłam tę sromotną porażkę.

Skoro plany z budą okazały się fikcją, trzeba było wdrożyć plan B. Czyli regularne spacerunki oraz docelowo, pobyty psa w ogrodzie. Jeszcze raz dokładnie sprawdziłam szczelność ogrodzenia, mąż przymocował obłuzowaną sztachetę i nasze życie pomału zaczęło wracać do normy. Dzieci zaaklimatyzowały się w szkole i dumnie puszyły się przed całą klasą, że ze szkoły odbiera je mama z psem. Tornado swoim ciętym spojrzeniem i poczciwym pyszczyskiem na wejściu obłaskawił srogą panią woźną, i jako jedyny czworonóg w historii owej szkolnej placówki mógł swobodnie wchodzić nawet do szatni, a pani dyrektor powitała nas słowami „Ojej, jaki śliczny piesek!” Obskoczony przez rzeszę dzieciaków, szczęśliwy wdzięczny się jak gwiazdor na scenie i z dnia na dzień zyskał sobie rzeszę popleczników, którzy za nic w świecie nie chcieli mi uwierzyć jaki z niego cwany numer.

Jako że, w końcu otrzymał identyfikator z numerem mojego telefonu, choć właściwie to nie wiem po co, bo większość mieszkańców dzielnicy, po ostatniej akcji zna mój numer na pamięć, poza spacerami, mógł wreszcie zaznać nieco swobody w ogrodzie. Ja również, ponieważ Tornado upatrzył sobie we mnie

swoją opokę i zaczął chodzić ze mną nawet do toalety. Nie odstępował mnie na krok, a mnie pomału zaczęły dopadać pierwsze oznaki manii prześladowczej. Po kilku dniach moja psychika siadła. Poczułam się śledzona, osaczona i inwigilowana przez psa, który skutecznie wtargnął w moją życiową przestrzeń ograniczając mi tlen i swobodę funkcjonowania. Na szczęście wyzdrowiał, zaliczył już większość szczepień i można było pomyśleć o kastracji, ale cóż, musiało jeszcze minąć kilka tygodni kwarantanny.

Pewna, że Tornado już się do nas przyzwyczaił, wypuściłam psa do ogrodu a sama zasiadłam z komputerem na tarasie, żeby w końcu trochę popracować. Minęło może pięć minut, jak doszło mnie szczekanie psa. Tylko niech mi kto powie, jakim cudem ten gad znalazł się w ogrodzie sąsiada? No jasne. Kompostownik. Pies sobie wskoczył, później przez siatkę i sruu... do sąsiadów. No pięknie. I co dalej? No jak to, co? Zagnałam psa z powrotem do domu i przystąpiłam do akcji przeniesienia kompostownika w jakieś miejsce bardziej oddalone od ogrodzenia. Ale to nie takie proste, bo do tego potrzeba było przynajmniej Goliata, by ruszył toto z miejsca, więc zmobilizowałam męża do pomocy. Kompostownik ani drgnął, więc nie było innego wyjścia jak podwyższyć w tamtym miejscu ogrodzenie. Klasyka. Castorama i do dzieła. Do wieczora parkan został skutecznie podwyższony. Nie ma siły, żeby go przeskoczyć choćby i o tyczce, więc pies, po raz kolejny tego dnia, wylądował na próbę w ogrodzie. Tę próbę zaliczył pozytywnie.

W międzyczasie przyszli do nas znajomi, Tornado zaprezentował się jak urodzony showman, a oni na wieść o jego wyczynach spojrzeli na mnie jak na wariatkę. Że co? Niemożliwe, taki słodziutki, malutki piesio? Przesadzasz, kobieto, przesadzasz...

No tak. Nie sądziłam, że kiedyś dojdzie do tego, że ludzie przestaną wierzyć nam, tylko psu, ale Tornado właśnie wyraził chęć wyjścia na zewnątrz po raz kolejny. Oczywiście cały czas czujnie nadstawialiśmy ucha, czy aby nie szturmuje świeżo zamontowanych paneli przy kompoście, ale na szczęście nic

takiego się nie stało. Nareszcie odetchnęliśmy z ulgą.

Tak, do chwili, gdy kolega nie wyszedł do ogrodu na papierosa.

– Słuchajcie? A dlaczego wasz pies biega u sąsiadów?

No tak, śmietnik. Tu na szczęście nie trzeba było już żadnych akcji specjalnych i dodatkowych wydatków. Wystarczyło tylko odsunąć kubeł na śmieci od płotu. Najpierw odsunęliśmy o metr. Po chwili namysłu, o dwa. Po czym spojrzeliśmy na siebie porozumiewawczo i na wszelki wypadek schowaliśmy trampolinę do garażu.

Znajomi chyba w końcu uwierzyli 😊

Tornado 5

Nowa buda.

Ten kto naprawdę szuka, ten znajdzie nawet mrówkę na pustyni Gobi. Tym razem alarm już nie był fałszywy. Po tygodniu karkołomnych i pełnych zapału poszukiwań, pieseczek już w domu. W całej rodzinie i wśród znajomych, wzruszeniom pomieszanym z ekscytacją oraz niedowierzaniem, nie ma końca. Nikt nie wierzy, że udało się nam znaleźć psa. Nawet jasnowidz się zdziwił.

Mąż na fali szczęśliwego odnalezienia, od nowa zapchlonego zbiega, niczym dziki, dostał szwungu do malowania, więc chwycił za pędzel i machnął psu tę nową budę na mahoń, żeby pasowała do ogrodzenia.

Cudownie. Pełnia szczęścia. Tylko, że pies, tuż przed wielką ucieczką został zaszczepiony przeciwko nosówce i z obniżoną

odpornością przywłókł do domu anginę stulecia. Widzieliście kiedyś psa z chrypką? Ja widziałam. Tornado o mało nie przypłacił tej przygody życiem, więc zaraz po wizycie u weterynarza i końskiej dawce antybiotyku, dla pewności wpakowałam wariata do samochodu i pojechałam na komendę straży miejskiej, żeby zdjąć ogłoszenie i odwołać czerwony alarm na dzielni.

Fruwając ze szczęścia na wysokości lamperii starannie zamknęłam ówczesny pojazd i pobiegłam zdjąć ogłoszenie na komendzie. Podziękowałam funkcjonariuszom i przy okazji zdjęłam jeszcze kilka z kilkuset wiszących w okolicy ogłoszeń i z wielkim zdziwieniem zareagowałam na pętające się u mych nóg moje własne (zamknięte w samochodzie) psisko.

Kurczę, jak wylazł? Całkiem prosto. Nadepnął łapą na guzik od otwierania szyby, otworzył sobie okno i radośnie wyskoczył na ulicę. To nic, że przy okazji zjazdu na jezdnię, na całej wysokości przerysował drzwi pazurami. To nic. Naprawdę. Przecież to wielkie szczęście, że kochany piesek się znalazł, więc wybaczam i w ramach chwilowego rozpasania, w drodze wyjątku pozwalałam mu się bezczelnie rozwalić na półce nad bagażnikiem.

Później przez pięć lat nie dałam rady usunąć z niej kłaków pseudo holenderskiego wolfhund'a, ale na tamten szczęśliwy i pełen uniesienia czas, Tornado mógł nam powbijać swoje wilcze kłaki nawet pomiędzy zęby, w zupę i w nową pościel.

No ale nic, zagoniłam bydlę z powrotem do samochodu i obiecałam sobie, że przy następnym przystanku na wszelki wypadek zamknę go w bagażniku. Niech sobie wyje. W ostatnim ludzkim odruchu szczęśliwego człowieka jednak darowałam mu ten bagażnik, ale tym razem już zamknęłam drzwi pilotem. Ech, to nie takie proste. Jeszcze nie zdążyłam kupić pomidorów na straganie, jak wyje. Właśnie się dowiedziałam, że mam w aucie alarm, bo wszystko wyje. Samochód wyje, pies w samochodzie wyje, a wokół samochodu gromadzą się zbulwersowani gapie i

komentują, co to za bezduszny sukinsyn tak się znęca nad niewinnym zwierzątkiem. Zostawiłam w diabły te zakichane pomidory, chrzanić pomidory, bo za chwilę dobrzy ludzie naślą na mnie kuratora albo jakiś inny inspektorat lub aktywistów z Greenpeace lub TOZ, opublikują mój numer rejestracyjny na facebook' u i jeszcze wpakują mnie za kratki.

A pieseczek co? Na mój widok zawył z radości i łaskawie zwolnił miejsce kierowcy.

Jako że wobec powyższego Tornado zupełnie nie nadawał się na zakupy, postanowiłam wdrożyć pozostałe pomysły zrodzone w amoku wcześniejszych poszukiwań. Buda. Postanowiłam spełnić złowrogą obietnicę związaną z przymocowaniem psa do budy. Uszczęśliwiona, odpuściłam mu przyobiecany w nerwach krowi łańcuch. Uznałam, że dźwięk wleczzonego po bruku łańcucha może zaburzyć sąsiadom spokojny sen, ale za to sięgnęłam do piwnicy po długaśną parcianą taśmę, na której niegdyś asekurowałam na nartach moje dziecko.

Na szczęście mahoń już wysechł, więc przytwierdziłam psa na kilkumetrowej taśmie do ogrodzenia w bliskiej okolicy budy i poszłam do domu. Zabrałam się za sprzątanie, bo przez tydzień poszukiwań nikt z domowników nie miał czasu zajmować się czymś tak mało istotnym jak choćby podłoga w kuchni. Po tygodniu, z powodzeniem można było zostawić na niej buty, więc wreszcie, pełna dobrej energii i optymizmu, postanowiłam rozprawić się z klejącą powłoką. Jeszcze nie zdążyłam nawet sięgnąć po wiaderko, jak pies, w niewiadomy sposób odłączył się od swojej nowej budy i zameldował się w domu.

– Nie, nie, stary. Tak nie robimy- zawołałam łajdaka i po raz drugi przypięłam go do taśmy. Chyba rzeczywiście źle zapięłam zaczep.

Idę. Zatankowałam pół wiadra, a ten gad znowu w domu. Tym razem wylazł z obroży. Chyba za luźna, więc nieco dociągnęłam na regulacji. Dolałam więcej wody do wiaderka. Cap za

wiaderko, zlew, akcja, szybkie ruchy, nalewam! Go! Go! Go!
Znowu chwilka. Znowu wyszedł. Stoi w kuchni i bezczelnie młóci tym swoim szalonym ogonem. Czyżby obroża nadal za luźna? Dociągam. Sprawdzam. Nie, no. Więcej się nie da. Jedno z dwojga. Albo Tornado się udusi, albo pękną mu oczy. Odpuszczam.

Nauczona złym doświadczeniem i pomna traumy z poszukiwań, profilaktycznie zamykam psa w toalecie przy okazji mając nadzieję, że podstępnie nie czmychnie kanalizacją, i jak głupia pędzę do pobliskiego sklepu zoologicznego.

– Panie! Szelki! Na dziesięć kilo psa! Czerwone, żeby było widać z drugiego końca Kurdwanowa!

– Aaaa, to pani?!- Sprzedawca najwyraźniej mnie rozpoznał. – I jak? Znalazł się piesek?

– Tak. Szelki potrzebuję, na tego psa, wie pan... Gazem!

– Jasne. Proszę.

Zapłaciłam trzy dychy. Jak diabeł dobrą duszę capnęłam te szelki i pognałam do domu. W międzyczasie Tornado chyba odkrył, że toaleta służy do sikania, tak więc obficie obsiurał fajans z dwóch stron i na powitanie radośnie wytarł mokre łapy w moją sukienkę. Niczym niezrażona zdjęłam mu obrożę i założyłam mu nowe, czerwone i bajeranckie szelki. Przypięłam drania do taśmy po raz enty i pewna sukcesu zrobiłam kolejne podejście do mycia podłogi.

Jeszcze nawet nie sięgnęłam po mopa, jak za plecami usłyszałam radosne szczeknięcie psa, który właśnie przyszedł mi oznajmić, że szelki ładne, ale też do luzu i że sprzedawca zrobił mnie w konia. Wrrr... dociągnęłam troki do momentu kiedy psu oczy o mało nie wyskoczyły z orbit, ale upewniwszy się, że da radę oddychać ponowiłam próbę przytwierdzenia go do budy na stałe i umycia tej nieszczęsnej podłogi. Tym razem stopień trudności nieco skomplikował mu sprawę, bo pies odmeldował się, jak już

kończyłam myć w przedpokoju, a jego zadowolona mina wyraźnie świadczyła o tym, że jest z siebie bardzo zadowolony i oczekuje nagrody, za to, że tak pięknie uwalnia się z nowych, czaderskich, czerwonych szelek.

Nie, nie. Ja tak łatwo się nie poddam! To niemożliwe, żeby pokonał mnie pies! Nawet bardzo cwany. Zdjęłam zatem te czerwone szelki i znów pojechałam do zoologicznego.

– Do bani te szelki!- powiedziałam. – Zwracam!

Sprzedawca tylko na mnie spojrzął. Najwyraźniej świadom mojej determinacji powstrzymał się od komentarza i poszedł na zaplecze. Nie było go dość długo. W tym czasie oczami wyobraźni ujrzałam ponownie osikany wucet, ale sprzedawca niebawem wychynął z czeluści zaplecza i z miną magika zaprezentował mi to mega zarąbiste COŚ (!).

– Proszę. Z tego już nie wyjdzie- konspiracyjnie zniżył głos.
– Na szelkach tego typu prowadzi się w cyrkach tygrysy. Przysięgam, żaden, nawet najsprytniejszy kotowaty się z tego nie wywinie. Tym bardziej pies, bo widzi pani...itd.

Taaa. Terefere. Za pierwszym razem zdążyłam umyć jedynie umywalkę w łazience. W drugim podejściu, nie zdążyłam nawet dojść do łazienki.

Moi Drodzy. Uwierzcie, że ostatnie lata z życiorysu Tornado nie zaliczały się do nudnych, a nowiutkie szelki dla tygrysa, po dziś dzień wiszą sobie spokojnie w garażu. No i cóż..., spokojnie sobie czekają aż kiedyś adoptuję jakiegoś tygrysa pierdołę 😊

CDN

Tornado 4

Wielki odlot cz 2

W końcu trafiłam na konkretny ślad. Udało mi się dotrzeć do młodzieńca, który w pierwszą noc przenocował u siebie naszego zbiega. Zaraz zaangażował w akcję okoliczne dzieci. Dzieciaki od razu wynegocjowały u mnie wycieczkę do zoo w zamian za znalezienie psa i w sekundzie rozpierzchnęły się między blokami. Poniedziałek. Początek roku szkolnego. Kurier właśnie przywiózł budę. Szlag by go trafił z tą budą!

Już absolutnie wszyscy na osiedlu mówią mi „dzień dobry” albo na mój widok szepczą między sobą: „To jest ta pani, co szuka psa”. Większość dzieci zna na wyrywki numer mojego telefonu. Moje dzieci przejęte po całości pójdziem do szkoły chętnie by uczciły ten dzień czymś ekstra, ale ja znów do papierniczego po entą ryzę papieru i pinezki. W poniedziałek wieczorem zdjęcie Tornado znajduje się już w kabinie każdej śmieciarki i ma je przy sobie każdy listonosz. Kończy mi się koncepcja. Coraz częściej dostajemy sygnały, że ktoś widział psa, ale zanim udaje się nam dojechać na miejsce, psa oczywiście już nie ma. Coraz bardziej nabieramy przekonania, że to beznadziejne, a ludziom po prostu się myli. Ileż można szukać? Co jeszcze można zrobić? Właściwie wypadałoby odpuścić, ale im więcej się zrobiło, tym trudniej zrezygnować. A co, jeśli on rzeczywiście tam jest i ci ludzie nie kłamią? W nocy uzupełniamy zerwane ogłoszenia. W całej dzielnicy praktycznie nie ma już drzewa bez przypiętego wizerunku Tornado. Zostały jeszcze latarnie i słupy od świateł na skrzyżowaniach. Zakaz naklejania pod karą grzywny, ale co tam. Jedziemy z koksem! Do południa wytapetowane wszystkie okoliczne skrzyżowania. No i w końcu stało się coś, co musiało się stać. Dosłownie wzięli się znikąd. Patrol straży miejskiej przydybał mnie przy ostatniej

latarni.

– To pani? Matko, wreszcie! Przecież my panią szukamy już od trzech dni! Co pani najlepszego wyprawia? Przecież za to jest mandat!

– Trzy dni szukacie? Przecież na ogłoszeniu jest telefon. Wystarczyło zadzwonić.

Strażnicy trochę zbici z tropu, ale za wypisywanie mandatu się biorą.

Kurczę, tylko nie to. Co tu robić?, pomyślałam gorączkowo. Najlepiej byłoby ich wziąć jakoś na litość. No nie ma lekko. Najlepiej byłoby się rozbeczeć, ale jakoś nie idzie. Za to siorbnęłam teatralnie nosem i powiedziałam, że psa szukam, że po szczepieniu, że chory, że dzieci płaczą, że ja płaczę..

– A co to za pies!- nieoczekiwanie zainteresował się jeden.

– A taki? Nie ma pan jeszcze zdjęcia w radiowozie?- podsunęłam mu pod nos ogłoszenie ze zdjęciem.

– Taki zwykły kundel?- funkcjonariusz pewnie myślał, że szukam yorka z diamentową obrozą.

– A co się panu nie podoba?- postawiłam się ostro.

– Nie może pani wziąć jakiegoś innego?

– Nie mogę- chlipnęłam twardo.

– I jeszcze nagroda? Za takiego kundla? I pani tak płacze?

– Proszę pana, pan nie rozumie! Ja znajdę tego psa!- powiedziałam, no i w końcu na serio się poryczałam. Nerwy mi puściły i już nie musiałam udawać. Jak się pewnie domyślacie nie dostałam mandatu, a przed końcem dnia zdjęcie psa znalazło się na tablicy w komendzie i w każdym radiowozie straży miejskiej w naszej dzielnicy. Wtedy naprawdę poczułam, że zrobiłam już wszystko i miałam odpuścić, ale przyszedł mi do głowy jeszcze jeden pomysł...

Nigdy nie byłam na tyle kreatywna, by aż tak pojechać po bandzie, ale całe te szalone poszukiwania i nasza determinacja doprowadziły mnie na skraj nedorzeczności. Po konfrontacji ze strażą miejską odeszły mi tak zwane wody i poczułam, że para uchodzi ze mnie jak powietrze z dziurawego materaca.

– Jeśli jakimś cudem ten cholerny pies się znajdzie, to przysięgam, że pojedę do castoramy, kupię najgrubszy metalowy

łańcuch i przypnę tego gnoja do budy! – powiedziałam przez telefon do mojego taty.

Naprawdę byłam skłonna to zrobić, ale na razie nie miałam czego uwiązać do tej nieszczęsnej budy, więc przystąpiłam do finałowej akcji.

Pozostała mi jeszcze jedna opcja do wykorzystania. Nedorzeczna i szalona, czyli jasnowidz. Wierzę, nie wierzę, może coś w tym jest. Co mi szkodzi? Najwyżej zrobię z siebie wariatkę. A co mi tam! I tak już od paru dni wszyscy znajomi pukają się w czoło. Nikomu się nie przyznałam, po co mi plan satelitarny tego gigant osiedla. Nie miałam zamiaru bawić się w poszukiwania palcem po mapie Europy. Konkret. Tu jest mapa. I gdzie jest pies? Mniej więcej tak to sobie wymyśliłam i tak to mniej więcej się odbyło. Atrybuty typu szklana kula, czarny kot i tarot poszły w bok. Był tylko pewien rodzaj transu i na koniec sękaty palec wycelowany w budynek starej hydroforni niedaleko miejsca, gdzie młody chłopak udzielił schronienia mojemu psu. Wybiegłam stamtąd jak na skrzydłach, ale zanim przejechałam pół miasta i dotarłam na miejsce pies już skutecznie zdążył się oddalić. Wtedy na serio już odpuściłam. Zrezygnowana powiesiłam jeszcze pięć ostatnich ogłoszeń. Na przystanku autobusowym i na ostatnich czterech wolnych drzewach w tamtej okolicy, i wróciłam do domu. O szóstej rano zadzwonił telefon.

– Dzień dobry, chyba znalazłam pani pieska. Właśnie śpi na przystanku i wygląda zupełnie jak ten z ogłoszenia...

CDN

Tornado 3

Pierwszy odlot cz 1

Jako, że imię Wiatrak kompletnie nie siadło, trzeba było wykombinować nowe. Warunkiem było coś z ruchem powietrza, bo psi ogon latał bezustannie i bez przerwy wzniecał mi z podłogi zamiatane śmieci. W drugim podejściu ogólnosąsiedzka komisja wzięła pod uwagę imiona: Tajfun, Huragan i Zefir. Padło na Tajfuna, ale po dwóch dniach wydało mi się jakieś takie niewyraźne i mało wdzięczne. Mam! W końcu wymyśliłam! Będzie Tornado. No, w końcu jakiś konkret.

Mąż oblatany w stołecznym kręgu biznesowym, uznał w żartach, że tak głupio w towarzystwie wyskoczyć z informacją, że ma psa rasy nieznanej i postanowił na tę okoliczność poszukać psu jakichś sensownych przodków. Śmiechu było co niemiara. Nie powiem. Długo szukał. Mniej więcej o piątej nad ranem znalazł psu rasowych protoplastów i rankiem obudził mnie podtykając pod mój zaspany nos zdjęcie jakiegoś mega rasowego wilczaka rodem z Niderlandów. Pomijając fakt, że w Europie występują może trzy egzemplarze i nikt ich za bardzo na własne oczy nie widział, to podobieństwo do Tornado można dostrzec jedynie o piątej nad ranem. Nie, nie. Saarlaas wolfhund, to zdecydowanie nie to, ale i tak w późniejszym czasie, niejeden znawca na tę informację kiwnął głową z uznaniem i zapewnił, że zna, że piękny, że to mądre psy 😊

No, skoro imię już jest, to wypadałoby zamówić psu identyfikator, tak więc korzystając z ładnej pogody zostawiłam w ogrodzie ten pseudo pomiot holenderskich wolfhund'ów. Szczelnie zamknęłam bramę, a sama udałam się do sklepu zoologicznego, by zamówić medalik z namiarami. Nie było mnie może kwadrans. Wracam i czekam, aż coś przyleci się cieszyć, a tu cisza. Wołam, gwizdzę, cmokam... Nic, zero. Pewnie pies w domu. Ale w domu też zero. Nie wierząc własnym oczom dokładnie sprawdziłam ogrodzenie, ale nie znalazłam obluzowanych desek ani podkopów. Pies po prostu wyparował. No, kaplica. W okolicy zero psa.

W pierwszym odruchu było lecieć w osiedle i wołać. Ale jak go

wołać? Pies był u nas raptem kilka dni i codziennie miał inne imię. Człowiek by zgłupiał, a co dopiero pies.

No, to papierniczy. Ryza papieru, toner do drukarki, pinezki i taśma klejąca. Tylko jak tu opisać psa, jakich milion i w dodatku takiego, który nie reaguje na imię(?) Uff, jakoś poszło. Dobrze, że miał chociaż czarną obrozę, biały koniec ogona i różową bliznę na nosie. W takiej sytuacji ważny każdy znak szczególny. W stresie nauczyłam się nawet wklejać zdjęcia do Word'a. Na pierwszy rzut poszło pięćdziesiąt ogłoszeń. I co dalej? Szukać? No dobrze, tylko gdzie? Wokół ruchliwe ulice i ogromne blokowiska. Potencjalnych kierunków wiele. Na pierwszy ślad czekaliśmy dobę, gdy w końcu ktoś zadzwonił i powiedział, że widział psa.

Ziścił się najgorszy możliwy scenariusz. Pies wylądował na Kurdwanowie, czyli na okolicznym osiedlu „sypialni” liczącym na biedę jakieś trzydzieści parę tysięcy mieszkańców. W tej sytuacji szukanie igły w stogu siana mogło napawać większym optymizmem, ale mniej więcej wiedząc, gdzie jest pies trzeba było rozkleić jeszcze więcej ogłoszeń. Znowu drukarka poszła w ruch, wśród znajomych zapanowała pełna mobilizacja. Zupełnie jak przed wyborami do sejmu, podzieliliśmy się plakatami, pinezkami, lepcami. Wyznaczyliśmy rewiry. Minął następny dzień. Akcja! Jest! Znowu ktoś go widział. Poszukiwania nabierają tempa. W okolicy każdy sklepikarz już wie, że zginął pies. Większość dzieciaków na placach zabaw przekazuje sobie tajne info o nagrodzie za znalezienie psa, a wszyscy psiarze ze zrozumieniem współczują i między sobą wymieniają informacje.

Kolejny dzień. Sobota. Psa nadal nie ma, a patrząc na to jak szybko biega, to może być już w Bratysławie albo nawet i na Lazurkowym Wybrzeżu, jak się do tira załapał. Ogłoszenia wiszą już prawie na każdym drzewie jakie rośnie na osiedlu, a ja dostałam w papierniczym kartę stałego klienta. Znowu znajomi pod parą, bo przecież zostało jeszcze trochę drzew i całe mnóstwo latarni w okolicy. W marketach też już byłam. Już

wszyscy wiedzą, że zginął pies, a mnie na Kurdwanowie coraz więcej osób mówi „dzień dobry”.

Samochodem jeździć bez sensu, bo mało mobilny na osiedlowych uliczkach, no to quad poszedł w ruch. Tu już kolejna rzesza mieszkańców wyraziła zainteresowanie akcją. W szczególności zainteresowały się matki i babcie z niemowlakami w wózkach, bo pyrcząc w tej betonowej dżungli, ku ich wkurzeniu pobudziłam wszystkie dzieciaki. Już, już, jeszcze tylko dwie rundki i odpuszczam. Przecież sama mam małe dzieci. Za trzy dni pierwsze w ich życiu rozpoczęcie roku szkolnego, a matka nie ma czasu nawet pomyśleć o grantowych spódniczkach, bo szuka psa a pies pewnie już na przedmieściach Wiednia...

Jest! Nagle telefon. Ktoś kilka godzin wcześniej widział psa na osiedlu. Za kwadrans drugi telefon. Jedziemy! Niestety, pierwsza osoba ponownie nie odebrała telefonu, a autor drugiego zgłoszenia zaproponował nam białego głuchego pudła. Ależ ja nie mam nic przeciwko pudłom, tylko że ja, do cholery, nie szukam pudła!

CDN...

Tornado 2

Chrzcziny

Niedziela. Koniec sierpnia. Za kilka dni rozpoczęcie pierwszego dla moich dzieci roku szkolnego. Dojeżdżamy do domu. Z psem. Tylko jak tu wziąć do domu psa, który jest brudny jak święta ziemia, ma na sobie rekordową ilość pcheł i

cały czas się czochra?

No to ja gazem do weterynarza, po coś na pchły. Na miejscu jedynie lekarz dyżurny i sklepik zamknięty na głucho a na dokładkę dyżurująca pani weterynarz prezentująca postawę nieugiętą. Nie mając wyjścia nastraszyłam dyżurującą niewiastę wizją dzieci z tasiemcem, glistami oraz inną dżumą i powiedziałam, że to będzie jej wina (sic!). W końcu uległa i sprzedała mi poza kasą psikadło na pchły i pastylkę na robaki.

No i zaczęły się jaja. Zanim trafił do wanny, pies po pierwszej aplikacji psikadła zaczął skakać na wysokość półtora metra. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby taki mały pies (na oko, jakieś dziesięć kilo psa) skakał tak wysoko. Pchły dostały bzika. Pies też. W końcu te małe cholery poległy w konfrontacji z frontline'm i można było wpuścić psa do domu. Tutaj nieoczekiwanie nastąpił zgrzyt, bowiem kot Frykas zareagował pełną obrazą majestatu i oddalił się w niewiadomym kierunku a pies (na szczęście już po kąpieli) bez pytania rozgościł się na kanapie przed telewizorem. O nie! Niedoczekanie! Sio pod stół! Do budy!

Mąż właśnie wrócił ze sklepu z miskami i karmą dla psa, a ja biegiem na allegro kupować budę do ogrodu. W końcu pies usnął, to ja po aparat, żeby mu jakąś fotkę strzelić. Ale nie, bez szans. Psi ogon żył chyba własnym życiem, bo nawet we śnie tak szybko latał, że wszystkie zdjęcia wyszły mi zamazane. I tym oto sposobem nasz pies zyskał swoje pierwsze imię, czyli Wiatrak i nareszcie można go było przedstawić sąsiadom. Wiatrak spisał się na medal i pokazał się z jak najlepszej strony. Oczywiście gad jeden w pięć minut zyskał sobie sympatię, a sąsiedzi zaproponowali, że tego psa trzeba jakoś oblać- w sensie uczcić- i tak w dzień przyjazdu zmontowała się radosna sąsiedzka imprezka z okazji przybycia czworonoga oraz jego chrzcin.

Było miło, Wiatrak wykazał się talentem showmana i wdzięcznył się jak w cyrku ale niestety nie wszystko poszło gładko, bo

około północy sąsiad poddał w wątpliwość, czy to imię aby odpowiednie. No i kaplica. Mąż po przemyśleniu tematu stwierdził, że nie będzie chodził wokół domu i jak kretyn wołał: „Wiatrak! Wiatrak! Do nogi! Frykas! Do domu! Kici kici! Wiatrak!”

cdn 😊

Tornado 1

Witajcie kochani czytelnicy!

Przedstawiamy Wam nową serię opisującą losy pewnego psa o wdzięcznym imieniu Tornado. Iza opowie Wam całą historię tego, zdecydowanie niezwykłego, domownika ☐

Na wakacjach przyplątał się piesek. Z oczu patrzyło mu dobrze, więc od razu się załapał na kawałek kiełbasy. Chlebem wzgardził. Plątało się to miłe stworzenie przez kilka dni, aż wakacje dobiegły końca.

W międzyczasie zauważyłam, że dzieci z okolicznej kolonii były uprzejme kilka razy podnieść go do góry za ogon, i ich nie zjadł. Znaczy pocziwy. A że mu dobrze z oczu patrzyło to w końcu, w zieloną noc zapadła decyzja, że bierzemy psa, bo ktoś musi. Nadleśnictwo po każdym sezonie organizuje odstrzał bezpańskich zwierząt, zatem nie mogliśmy pozwolić, by ktoś zastrzelił nam zwierzaka.

Mój mąż, który nigdy nie miał psa, od razu poczuł się panem i gestem właściciela usadził sobie swojego nowego czworonoga na kolanach. To nic, że pies składał się głównie z koszmarnie brudnych kłaków przypominających szczecinę na dzikiej świni

oraz pcheł. Mąż długo głaskał go i przemawiał doń czule. Obiecał mu nawet, że nauczy go jeździć na snowboardzie. W końcu ścierpł i rozczarowane psisko wylądowało na ziemi. Hmm... A jak zwieje? Przecież już jest nasz... Ale dla chcącego nie ma nic trudnego. Nawet o północy. Załatwiłam u dyżurnego stajennego starą lonżę do nauki jazdy konnej, z kolei mąż udał się do baru i wrócił z pustą skrzynką po tyskim, do której uwiązał psa. Niezapomniany widok. Oczami wyobraźni zobaczyłam gnającego psa i podskakującą za nim skrzynkę po piwie uwiązaną na lonży 😊

Cóż, w końcu trzeba było położyć się spać. Niestety wszystkie drzwi w naszym domku miały niesprawne klamki, a pies ani myślał spać w przedpokoju. Przed świtem obudził mnie rozpaczliwy krzyk dziecka:

„Mamusiu! Dlaczego wpuściłaś nam do łóżka dzikie zwierzę!!!”

„Śpij! To nasz pies!” – powiedziałam i zapanował spokój, dopóki o ósmej nie wywiązała się awantura, kto ma wyjść z psem na spacer.

Już wtedy rozdzwonił się w mojej głowie dzwonek alarmowy.

Pomijając fakt, że często wyjeżdżamy i nie będzie w tym czasie co zrobić z psem, to chyba nie był najlepszy pomysł. No ale nic. Mamy psa, który za pół roku będzie zapylał na snowboardzie i wracamy do domu z wakacji...

